

„To jest zapach mojego życia”

Deszcz wali o parapet jak oszalały. Wstaję ledwie z łóżka i zamykam okno. Czuję jak On świdruje mnie wzrokiem. Jeszcze trzy minuty byłam jego, a teraz jest kompletnie obcą mi osobą. Przykładam pięć palców do okna i znów mam siedem lat, na sobie czerwoną spódniczkę, koszulkę w kwiatki i białe rajstopki. Mama siedzi przy starym biurku i szuka zaciekle w katalogu kartkowym nazwiska człowieka, który ma w dłoni „Rozmowy z katem” Moczarskiego. Mężczyzna nie jest wysoki, ma może z czterdzieści pięć lat czarne włosy i szare oczy. Widzę jak jego ręce drżą, trudno jest mu ukryć zdenerwowanie. Patrzę na mamę i widzę kobietę o jasnych włosach, pulchnej twarzy i piwnych oczach. Mój wzrok zatrzymuję się na jej ustach, małych i cienkich, pomalowanych tandetną, różową szminką. Próbuje się usprawiedliwiać owemu mężczyźnie, że mają praktykantkę, która nie dba o porządek. Ale ten zatrzymuje ją w połowie słowa, mówiąc, że nic go to nie obchodzi. Siedzę na parapecie, są lata dziewięćdziesiąte, moje Życie ma smak Kaskady. Po pięciu minutach, mama w końcu wpisuje na karcie datę pożyczenia książki Mężczyzna odchodzi, nie mówiąc mi na pożegnanie. Moja matka kładzie ręce na biurku i patrzy na mnie. Pyta mnie, dlaczego wciąż tu siedzę, dlaczego nie pójdę do pobliskiego parku i nie pobawię się z innymi dziećmi. Zeskakuję z parapetu i chowam się pod biurkiem, oglądając po raz tysięczny jej buty, tak tandetne jak reszta jej ubioru. Miała w zwyczaju wtedy mawiać, że wyrosnę na dzikusa, który w żaden sposób nie poradzi sobie w życiu. Lato było parne, nienawidziłam go. Sześć dni w tygodniu łąpałam mamę za rękę i szłam z nią do pracy. Była jedną z tych kobiet, które zaszły w ciążę, by nie być samotną. Przypadkowy seks, przypadkowy mężczyzna, jedna z tych prywatek w ciasnych kawalerkach, trochę taniego wina, parę słodkich słów, pewnie z dziesięć minut współżycia. Tak to widzę teraz, kiedy mam dwadzieścia lat, a obok mnie leży mężczyzna, którego nie kocham w żaden sposób. Lubiłam jak nic innego zapach książek, starych, wytartych, odkładanych codziennie przez matkę z powrotem na półkę. Tę rutynę, która dawała mi bezpieczeństwo, bo nic złego nie mogło mnie zaskoczyć. Do biblioteki przychodził regularnie Jakub, który miał upośledzenie umysłowe, a jego matka nie miała co z nim zrobić, gdy wychodziła dwa razy w tygodniu sprzątać do pobliskiego kościoła. Ludzie bali się jej syna jak diabli, był wrzodem który nie miał prawa być. Gdy przychodził, wychodziłam spod biurka i szłam do niego. Siedział na wózku z przekrzywioną głową i bełkotał coś niezrozumiale. Jego ręce były powykręcane we wszystkie strony a z ust lekko

kapala ślina Miał osiemnaście la□ a jego matka powtarzała, Ze nigdy go nie odda do ośrodka, gdy ludzie kręcili z dezaprobatą głową. Robili to odkąd się urodził. Mawiali, że zmarnuje sobie życie z tym "czymś", które nigdy nie będzie normalne. Bo Oni żyli w swoich idealnych światkach, mieli cudowne dzieci, cudowne wspomnienia, cudowne wyjścia za rękę, z wózkiem, co niedziele do kościoła. Oni, którzy po wejściu do rodzinnych domów ściągali maski idealnych ludzi i pluli w siebie jadem, brudni, śmierdzący, siedzący w nowoczesnych fotelach z Ikei, oni wydający sądy na prawo i lewo, oni mówiący o miłosierdziu bożym, oni każący zabić jej TO. Patrzyli na nią z góry, kiedy wychodziła w środy i soboty sprzątać za psie pieniądze, zebrząc do wszystkich ośrodków i fundacji o pomoc dla syna. Znały się z matką parę lał, obie były same, bo jaśnie pan - ojciec Jakuba, uciekł jak tylko zobaczył TO, mówiąc na odchodnym, że jest dobry, bo daje jej wybór TO albo on. I odeszło wieczne dziecko w siną dal, zostawiając kobietę, której jeszcze dziewięć miesięcy wcześniej mówił, że już na wieki wieków będą razem, przegryzając w międzyczasie chleb z kielbasą . Jakub wydawał z siebie odgłosy, które chyba tylko ja rozviałam. Chodziło zawsze o przeczytanie ostatnich rozdziałów z Chłopców z Placu Broni. Dostyc szybko w życiu nauczyłam się czytać. To ja byłam świadkiem jak przemienia się w Nemecka, to ja widziałam jak w chwale, broni swojej malej ojczyzny. to ja widziałam jak umiera za nią . W kącie czytelnicy. Rozgrywaliśmy bitwę na śmierć i życie. Dla mnie nie siedział na wózku i nie miał skrzywionych rąk, nie był kosmitą, nie był tym CZYMŚ. Był bohaterem i kochałam tego chłopaka jak nikt inny. Był tak samotny jak ja, był tym wszystkim. co sprawiało mi radość. Nienawidzili nas. Nienawidziły nas te dzieciaki z pobliskiego parku, krzyczące, że jestem znikąd i donikąd mam odejść i jego, bo jest troglodytą. Biblioteka, mała, ciasna, z tymi samymi czytelnikami wciąż. w tym sennym mieście, w którym każdy widzi błędy innych i żywi się nimi, czując się lepiej. Z tego miasta uciekłam J z tej biblioteki uciekłam. To było całe moje życie. Wreszcie z tych cholernych czasów szkoły, w której gniłam.

W szkole średniej, do której przyszłam zdać jakże "ważny" egzamin maturalny, uczył profesor K.- ów człowiek, z telepiącymi się rękoma, gdy matka nie mogła znaleźć jego karty. Pamiętam go, bo miał w zwyczaju wypożyczać wszystkie książki o Holocauście. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że brał je pod pachę, siadywał na ławce pod biblioteką i czytał je z satysfakcją . Miałam tylko siedem lat, ale łatwo było się zorientować, Ze uwielbia to wszystko co działo się w obozach koncentracyjnych. przez okno czytelnicy widziałam jego grymas twarzy, jakby jadł najlepsze z dań, jakby oddawała mu się sama Sophia Loren. Gdy ślinił swój tłusty palec i szukał strony na której są czarno białe zdjęcia wychudzonych ludzi,

setki trupów zwalonych jeden na drugim. Widziałam to wszystko kilkanaście lat później, gdy przychodził do klasy i mówił o trygonometrii, a ja wyobrażałam sobie, że jest hitlerowcem który zaraz mnie zabije. I kiedy wrywał mi kredę, bo kolejny raz źle policzyłam deltę, widziałam jak dotyka fotografii z drutem kolczastym. Widziałam jak chadza ze swoją dorosłą córką pod rękę no pobliskiego supersamu i wyobrażałam sobie, że, prowadzi ją do gazu.

Ktoś na górze zaczyna szaleńczą kopulację, ja dotykam głową o zimną szybę. Pamiętam moją matkę jako niską, grubą kobietę, która miała w sobie hektolitry miłości . Byłam świadkiem, gdy przychodził do biblioteki jeden mężczyzna, którego kochała, a którego nie mogła mieć tylko dla siebie . Był tym typem, o którym uwielbiała czytać w tych swoich harlekinach . Był silny, może to był wojskowy? Wiem tylko, że miał rodzinę, a matka była odskocznią od nudnego jak flaki z olejem życia. Przychodził zawsze koło 17, gdy kończyła pracę. Nigdy nie dowiedział się . że stałam przy otwartych drzwiach, w pokoju naprzeciwko, i widziałam jak ją łapie za nadgarstki i przyciąga do siebie. Nigdy też się nie dowiedział, że później we wszystkich mężczyznach mojego życia, szukałam jego postaci. I pewnie nie wiedział także, że nienawidziłam matki, za to, że czuła go w sobie, a ja nigdy.

Miałam siedem lat. ona trzydzieści dwa, było upalne lato a on ją brał na moich oczach przy biurku.

Uciekłam z domu po maturze, oddaję się za pieniądze, bo nie mam z czego żyć, a matki nie widziałam od trzech lat . Koło mnie leży człowiek, którego nie znam i nie chcę znać. Jakub nie żyje od dziesięciu lat, chyba zmarł na zapalenie płuc, moja matka żyje z zasiłku, bo zamknęli nikomu nie potrzebną bibliotekę, a profesor K. mieszka z córką, umierając powoli. pewnie ciągle napawając się mordem na Żydach, których nienawidził. A ja codziennie chodzę do biblioteki niedaleko, bo jest niemalże identyczna jak z mojego dzieciństwa i wdycham zapach starych książek. To jest zapach mojego życia.